



## MARIA CHOJECKA

Maria Chojecka, ur. 11 marca 1903 r., och. sekcyjna, żona majora kawalerii sł. st. [służby stałej].

Po kilkakrotnym przesłuchaniu na milicji, po trzykrotnym przezucaniu z mieszkania do mieszkania, kiedy straciłam prawie cały swój kilkunastoletni dobytek, zdecydowałam się wyjechać nielegalnie do Warszawy. Wyjazd miał nastąpić 14 kwietnia 1940 roku. Tymczasem w pamiętną noc 13 kwietnia obudził mnie łomot karabinów. Zrozumiałam, [że jest] za późno. Po otworzeniu drzwi weszło sześciu bolszewików z rewolwerami w ręku, reszta została na dworze. Przeprowadzili dokładną rewizję, dali dwadzieścia minut na pakowanie, rzeczy załadowali na auto i powieźli na dworzec. Byłyśmy jedne z pierwszych. Dwa dni trzymali nas na stacji, nie dopuszczając nikogo z zewnątrz. W naszym wagonie były 34 osoby. Warunki higieniczne i sanitarne żadne. Wszystko odbywało się w wagonie. Zaczęły się choroby, pokazały się wszy. Na większych stacjach przychodził doktor z siostrą, bez względu na chorobę i wiek pacjentów dawali aspirynę i walerianę. Raz dziennie przynosili zupę, zawsze w nocy. Chleba dawali wystarczająco.

Po trzech tygodniach podróży przyjechaliśmy do Pawłodaru, Kazachstan. Stamtąd partiami rozwozili nas do kołchozów, sowchozów, część została w mieście. Mnie z córką zawieźli do rejonu Lebiaża, 150 kilometrów od Pawłodaru. Umieścili nas w oborze z tym, że mamy sobie szukać mieszkania. Po trzech dniach odpoczynku zaczęliśmy pracować.

Praca jak dla kobiet była wyjątkowo ciężka, nasypywałyśmy ziarno do 80-kilogramowych worków i odciągałyśmy kilkadziesiąt metrów. Zarobek nasz przeciętny miał wynosić do dwóch rubli dziennie, przez trzy miesiące jednak nic nie płacili. Chleb trzeba było zdobywać własnym przemysłem. Wymieniałyśmy ubrania i bieliznę na żywność i jakoś się żyło.

Z kraju przysyłali paczki, listy przychodziły regularnie. Z więźniami i jeńcami nie mogliśmy się skontaktować. Na depesze i listy nie dostawałyśmy odpowiedzi.

Co dwa tygodnie wołali nas do NKWD. Pierwsze pytanie za każdym razem było, kim był mąż i gdzie jest w tej chwili. Na jednym z przesłuchań naczelnik z NKWD zaczął czytać akt oskarżenia dotyczący się mego męża. Wymienił wszystkie odznaczenia męża, zaznaczając, że Virtuti Militari dostał za wojnę z bolszewikami. Widząc, że mają dokładne informacje o mężu,

prosiłam o adres, względnie o przesłanie jemu mego. Zawsze jednakowa odpowiedź: – Przyjdzie czas, dowiecie się. Wszelkie próby skontaktowania się z mężem spełzły na niczym. Ostatni list dostałam w kraju, datowany 15 lutego 1940 roku z obozu jeńców Kozielsk.

Pierwsza zima na obczyźnie była wyjątkowo mroźna, burze śnieżne zasypały drogi, zostaliśmy odcięci od świata. Ludność miejscowa zaczęła głodować. Kolonia polska była wyjątkowo dobrana, pomagałyśmy sobie wzajemnie. Jednak kończyły się zapasy, trzeba było szukać pracy, która dałaby chleb. Przez protekcję gospodarzy dostałam posadę kucharki w ochronce. Kazacy [Kazachowie] nie zgodzili się na Polkę. Za namową zarządzającej poszłam do naczelnika NKWD. Nic mi nie pomógł, mówiąc, że to jest Kazachstan i oni mają decydujący głos. Zaproponował mi jednak, czy nie zechciałabym pracować jako bufetowa w stołówce. Oczywiście zgodziłam się. Wykorzystywali mnie: oprócz zwykłych obowiązków bufetowej, prowadziłam książki, szorowałam podłogi, pomagałam w kuchni. Wychodziłam z domu, kiedy jeszcze wszyscy spali, przychodziłam – kiedy już spali. Było to ponad moje siły. Trzymałam się jednak kurczowo stołówki, byłyśmy z córką syte, z wielką ostrożnością mogłam pomagać naszej kolonii. Miałam wielkie przykrości z tego powodu. Z tych czasów pamięta mnie p. Wiewiórska, pracuje jako lekarz dentysta w OZ PSK. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej usunęli mnie bez żadnego wymówienia, mało tego, wywieźli 15 kilometrów do sowchozu Bieskaragaj.

Razem ze mną wyjechali p. Irena Brzozowska (lekarz) z rodzicami i z synkiem, Eugenia Rajkowska z córkami Stanisławą i Izabelą. Na pocieszenie milicjant, który nas eskortował, powiedział, że wszystkich Polaków usuną z rejonu. Nie zdążyli, w tydzień po naszym wywiezieniu wyszła amnestia dla Polaków. W Bieskaragaju było dużo obywateli polskich, przeważnie Ukraińców wrogo do nas usposobionych. W Lebiażu pracowałyśmy wszystkie, jednak nie zmuszali, w Bieskaragaju gonili na robotę. Prace były tylko w polu, zarobki marne, chleba dawali 600 gramów na osobę. Pracowałam przy wiązaniu zboża przez miesiąc. Mieszkałyśmy z początku w polu, kiedy zaczęły się deszcze, zbudowałyśmy sobie szałas. Na robotę chodziłyśmy przed wschodem słońca, schodziłyśmy po zachodzie. Zarobek nasz wynosił jeden do dwóch rubli dziennie. Otrzymywałyśmy 800 gramów chleba, z rana *kipiatok*, w południe kluski z żytniej mąki na odciągany mleku bez odrobiny tłuszczu, wieczorem *kipiatok* albo odciągane mleko, zawsze przypalone. Za wszystko trzeba było płacić.

Po miesiącu takiej pracy rozchorowałam się poważnie na serce, na podstawie świadectwa lekarskiego zostałam zwolniona. Od tej chwili pracowałam tylko dorywczo. W zimie nie było pracy.

Do naszego sowchozu przywieźli Niemców znad Wołgi i ich tylko zatrudniali. Zima była straszna dla Polaków. Z głodu umarła Wiera Dobrowolska (żona lekarza z Torczyna), zostawiając synka. Zaopiekowała się nim p. Irena Brzozowska. W tym czasie córka dostała drugiego ataku ślepej kiszki, o diecie nie było mowy, rozpacz mnie ogarnęła. Postanowiłam za wszelką cenę wyjechać do miasta, namawiałam inne panie. Gdy przyszedł decydujący moment, żadna nie pojechała.

O formalnym wyjeździe nie było mowy. Przekupiłam szofera i w 45-stopniowy mróz wyjechałyśmy autem ciężarowym pełnym beczek po benzynie. Nie zamarzyłyśmy, nie spadłyśmy, do dzisiejszego dnia nie mogę tego zrozumieć, to cud. W Pawłodarze szofer wyrzucił bagaż na ulicę i co dalej? Nie miałam żadnego adresu, każdego przechodnia zatrzymywałam, prosząc o pomoc, wszyscy obojętnie przechodzili. Jadący Kazach skusił się na herbatę, ledwo ruszyliśmy z zaułka, wyskoczyła znajoma z sowchozu Janka Grudzińska (ojciec porucznik rezerwy pracuje w Quizil-Ribat w Referacie Opieki nad Rodz.), nie pytając się nic, podała adres Kazachowi i pojechałyśmy dalej. Wzruszające było przywitanie p. Olgi Grudzińskiej, nie zapomnę go do końca życia. Od tej chwili nie byłyśmy nigdy głodne.

W mieście na każdym kroku odczuwało się opiekę Delegatury. Dla spraw wojskowych był rotmistrz Kazimierz Święcicki, dla spraw cywilnych Stanisław Likendorf (obecnie por. 12 Pułku Ułanów). Przedstawiłam im położenie Polaków po posiołkach, byli bezsilni: brak środków komunikacyjnych itd. Na wiosnę przygotowywali pomoc na wielką skalę. Czy w praktyce przeprowadzili, nie wiem.

Wyjechałam na południe. Pułkownik Szafranowski przysłał wagon po p. Stanisławę Strzemińską (obydwoje są w 6 Dywizji), kapitanową Podolską i inne rodziny. Zabrali i mnie z córką, opiekunem naszym był plutonowy rezerwy Franciszek Gregorczyk, zawdzięczam mu dużo. Podróż nasza trwała trzy tygodnie, przyjechaliśmy do Kitabu [Kitobu]. W Kitobie [Kitobie] zaopiekował się nami pułk. Szafranowski, łącznie z zaprowiantowaniem w kasynie. Było nam jak w raj. Nie zdążyłyśmy odpocząć, kiedy trzeba było jechać dalej. Nic nie

pomogły prośby, pułkownik rozkazał. Dzisiaj wspominam to ze wzruszeniem i wdzięcznością. W dniu, kiedy podstawili wagony, na placu czekały tłumy Polaków. Dużo widziałam nędzy w Rosji, ale czegoś podobnego nie wyobrażałam sobie. Po prostu szkielety, kilka osób umarło na placu. Transport składał się z żołnierzy, trochę rodzin wojskowych, reszta włościanie. Prowadził transport płk Jaxa-Rožen, zastępcą był por. Witold Kotowski.

Po kilku dniach przyjechaliśmy do Krasnowodska. Tu na załadowanie na okręty czekały już tłumy ludzi. Po załadowaniu bagażu naczelnik NKWD wyczytywał nazwiska i ludzie partiami przechodzili na pokład. W ostatniej chwili dowiedziałam się, że lista, na której były nasze nazwiska, zaginęła. Pułkownik Jaxa-Rožen rozkładał ręce, mówiąc, że w tej chwili nic nie może pomóc. Dzięki energii por. Kotowskiego wyjechaliśmy.

W Pahlevi byliśmy kilka godzin, stąd pojechaliśmy do Teheranu. Z Teheranu z pierwszą partią junaków wyjechałam do Palestyny. W Habbaniyi czekałam na transport przeszło trzy tygodnie. 1 czerwca 1942 roku przyjechałam do Palestyny jako osoba cywilna. Dzięki pomocy szefa I Oddziału ppłk Kolbuszewskiego ulokowałam córkę w gimnazjum w Tel Awiwie, sama wstąpiłam do wojska.

Razem ze mną znajdowały się następujące osoby: p. Kazimiera Studzińska z córkami Sławą (lekarz) i Haliną, p. Janina Tyleżyńska z synem Władysławem, Wanda Benklewska z matką i dziećmi Danutą i Jurkiem, Natalia Piotrowska, Maria Chrzęstowska, Genowefa Denis z synkiem Stanisławem urodzonym na Syberii, Jadwiga Białkowska z córeczkami Barbarą i Halinką urodzoną w wagonie, Danuta Zarembina z córką Ireną, Czarnecka z córką Haliną, Halina Klisowska, Kinowa z córką Ireną i synem Jerzym, Brennensstuhl z synem, Beiner z żoną i córką, Irena Brzozowska z synkiem Juliuszem

W Bieskaragaju zostały p. Maria Wałęcka z synem Jerzym (żona majora Zygmunta, kom. PKU), Anna Marienstein z synem Andrzejem (żona lekarza dentysty, porucznika rez.)

Zostało wiele innych, nazwisk w tej chwili nie pamiętam. Maria Dybczyńska (żona kapitana) z synem i córeczką została w skrajnej nędzy.